



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

W wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60, kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

Ekspedycya główna w księgarni wydawcy
Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

POGA WĘDKA.

Ktoś powiedział, że życie jest kalejdoskopem, w którym co chwila inne układają się obrazy, a przecież zawsze te same kolorowe szkiełka i paciorki je tworzą, tylko inaczej ugrupowane przy sobie.

Ten „ktoś“ miał wiele słuszności, chociaż nie nowego nie odkrył w swoim porównaniu optyczno-filozoficznem.

Gdyby to przynajmniej w życiu jak w kalejdoskopie zmieniały się obrazy, ale zawsze o jasnych i wesołych barwach, zawsze w symetryczne ujęte figury, jedno wrażenie przelotne zastępujące drugiem niedłuzej trwającym — gdyby tak było, to, idąc dalej za tem porównaniem, życie nasze miałoby wartość... zabawki dziecięcej!... a wtedy:

W księdze żywota przed ostatnią kartą
Spytać-by trzeba, czy żyć było warto?

I odpowiedź musiałaby wypaść wówczas bardzo pesymistycznie.

Coprawda, w tej kwestyi trudno samemu wyrokować.

Pozytywiści utrzymują, że człowiek jest z natury samolubem i że gdyby był sam dla siebie świat stwarzał, to byłby go niezawodnie tak urządził, aby mu nie w nim nie dolegało, aby pieczone gołąbki leciały mu same w otwarte usta; ale są i tacy, którzy zapewnają, iż w takim świecie można byłoby tylko ziewnąć potężnie i usnąć twardym snem sprawiedliwych na całą wieczność.

Nie mamy ochoty spierać się w tym względzie i jakkolwiek nie możemy utrzymywać, że tak jak jest, wszystko na tym „najlepszym ze światów“ —

jest dobrze, to przecież w naszym osobistym pojęciu nie rozumielibyśmy życia, w którym nie potrzebowałoby nigdy już być *lepiej*.

Z takimi zasadami można by się czuć w Warszawie szczególnież zadowolonym, bo tu nie brakuje na każdym niemal kroku okazji do głębokiego westchnienia o coś lepszego.

Pomiędzy niebem a ziemią dziurawe rynny i dziurawe bruki stanowią dwie granice, w obrębie których zmieścić się może tysiące nieuspokojonych pragnień zdolnych z najpotulniejszego człowieka zrobić skrajnego malkontenta i śledziennika szczególnież przy nadciągających słońcach.

Już to, prawdę mówiąc, ten wypłowiły, pożółkły, dżdżysty sezon jesienny ma w sobie coś, co u nas w Warszawie przejmując niekiedy do szpiku kości, zabija humor i mogłoby spleenem zarazić najlekkoomyślniejszego Warszawiaka.

Przedewszystkiem opadają cię tysiączne refleksje na jeden i ten sam temat; przeglądasz starannie na dzienniki, zaczynasz się gorzej zajmować ruchem społecznym i literackim, i to, stosownie do usposobienia, zaczyna cię mniej lub więcej irytować.

Dowiadujesz się, na przykład, że w końcu bieżącego miesiąca miała być urządzoną w Muzeum techniczno-przemysłowem wystawa wyrobów z drzewa, szkła i gliny; przypominasz sobie nawet, że kilkakrotnie czytałeś w „Bluszczu“ szerokie rozprawy o tym przedmiocie przed kilkoma miesiącami, że wszystkie dzienniki codzienne z wytrwałością średniowiecznych heroldów obwieszczały wszem wobec i każdemu z osobna cel, termin i znaczenie tejże wystawy: aż tu nagle powiada ci *Kuryer*, że z powodu małej ilości zgłaszających się wystawców wystawa zostanie odroczone.

Nie możesz pojąć ani zrozumieć oziębłości czy apatii naszych przemysłowców w drzewie, glinie i szkłe, marszczysz czoło, ścigaszą ramionami i, przypomniawszy sobie wystawę pracy kobiecej, zaczynasz podejrzewać komitet, iż nie wziął się dość

energicznie do rzeczy; ale tu musisz ze wstydem zarumienić się, bo obaczysz czarne na białem, że muzeum zabrało się, jak należy, do urządzenia wystawy, zawiązało liczne stosunki na prowincyi, trafiło nawet do zamożniejszych posiadaczy galicyjskich z prośbą o nadesłanie rozmaitych okazów tamtejszego przemysłu ludowego w celu porównania wyrobów jednego rodzaju.

Ażeby uzyskać, na przykład, zupełnie dokładną kolekcję wyrobów garncearstwa włościańskiego ze wszystkich stron Królestwa, muzeum odniosło się do agentów prowincjonalnych Warszawskiego Towarzystwa ubezpieczeń z prośbą o zbieranie okazów ludowej ceramiki; w tym samym celu uproszono izby skarbowe zarządzające lasami, oraz nadleśnych rządowych, aby zachęcali włościan do uczestniczenia w wystawie.

Swojego czasu zwracaliśmy na to uwagę, wzywając osoby wpływowe, aby czynnie pomagać chciały komitetowi do jaknajświetniejszego urządzenia wystawy, która ma nam dać obraz naszego średniego przemysłu ludowego i materiałów surowych w ziemi leżących.

Coż ztąd?... dotychczas zaledwie pięćdziesiąt deklaracji znalazło się wszystkiego, a pomiędzy temi trzy (!?) tylko od właścicieli gruntów posiadających kaolin, czyli glinę porcelanową. Muzeum chciało otworzyć niektórym obywatelom ziemskim oczy na posiadane przez nich źródła dochodu, mogące przysporzyć krajowi wiele bogactw, ale, jak się pokazuje, nasi panowie obywatele, gdyby gotowe filiżanki i półmiski porcelanowe mieli pod ziemią, to jeszcze nie zadali by sobie trudu wydobyc ich ztamtąd.

Kiedy się zważy, że na przykład w Ameryce nawet takie wybryki przedsiębiorcze jak wystawy dzieci, wystawy łysych, otyłych, wystawy cerowanych sukien etc. przychodzą do skutku — wtedy dopiero się poznaje, że nas jeszcze nietylko sam Ocean dzieli od postępowej i obywatelskiej Ameryki.

Musi ci się tedy, czytelniku, robić wielce marko-

tno na duszy, gdy zobaczysz jak najuczciwsze dążenia rozbijają się o twarą zaporę zacofania i indyferentyzmu w kwestjach ogółu dotyczących.

Mimo to nie chcemy tracić nadziei, że pomimo wszystkich trudności znaczne usiłowania komitetu zwyciężą i chociaż nieco później pożądanym skutkiem uwieńczone zostaną.

Najlepszy dowód, iż do zwerbowania wystawców z ludu przy dobrej woli niewiele zachodu potrzeba: oto znajdujemy w wiadomości z gubernii Lubelskiej, gdzie w ostatnich czasach urzędzone zostały próbne wystawy prowincjonalne. Włosianie wzięli w nich przeważny udział i znowu wykazali jak ważnym czynnikiem w ekonomii naszego kraju mógłby się stać, przy niejakiem tylko poparciu—przemysł ludowy, zostający dotychczas w powijakach.

Na wystawie Krasnostawskiej jeden z włosian wystawił model żniwiarki własnego pomysłu, zupełnie oryginalnego, i odmiennej konstrukcji.

Z tego, co na owych, dorywczo zaimprovizowanych, wystawach widzieć się dało, wynieść już można przekonanie, powiada *Gaz. Lub.* jak wielkie wrodzone zdolności kryją się pod strzechą wieśniaczą, jak zdolności te możnaby spożytkować przy podniesieniu stopnia oświaty u naszego ludu, a powtóre, jak dobroczynne sztuki dla bogactwa krajowego sprowadzić mogą wystawy prowincjonalne, wpływając tak na podniesienie rolnictwa wogóle, jako też na rozwój drobnego przemysłu, dając mu odpowiednią zachętę, stawiając wzory i wskazując właściwe drogi zbytu.

Daj Boże, aby rzeczywiście przyszedł już raz do skutku ów tyle razy ponawiany projekt wystaw prowincjonalnych powiatowych, któreby z czasem mogły zupełnie wyrugować, utrzymujące się dzisiaj jeszcze tradycją tylko, jarmarki! W dzisiejszych warunkach handlu i przy tak ułatwionej komunikacji, jarmark jest anachronizmem, podającym tylko sposobność do demoralizacji wiejskiego ludu i małomiasteczkowej ludności, która, korzystając z okazji, oblewa targ suto i powraca z jarmarku, nietylko bez pieniędzy i zakupna, ale i bez głowy do domu.

Dużo jeszcze, niestety, wody—i wódki—upłynie zanim utopie hr. Kickiego staną się rzeczywistością, chociażby w mniejszej połowie. Słyszeliśmy z ust bardzo wiarogodnych, że kwestya testamentu zacnego filantropa zostanie może korzystnie dla Towarzystwa Osad Rolnych rozwiązana, jeżeli partya opozycyjna nie zechce się zrażać ciężkimi obowiązkami, jakie wraz z testamentem na jego wykonawców spadną.

Zarząd Tow. Osad Rolnych zajmuje się właśnie roztrząsaniem tej kwestyi, do czego sprawozdanie pana mecenasa Wierchlejskiego o stanie pozostawionych przez testatora majątków,—które pan W. osobiście przed niedawnym czasem zwiedzał—powinno się zachęcająco i rozjaśniająco przyczynić.

Wprawdzie warunek zamykający drogę kredytu na hipotekę dóbr zapisanych, może rzeczywiście tamować wykonanie główniejszych warunków testamentu dla braku funduszy; ale czyżby już temu nie dało się zaradzić?—czyż nie znajdzie się więcej w kraju uczciwych i zamożnych obywateli, którzy, mając gwarancję w dobrej administracji dóbr zapisanych Osadom Rolnym i w nieposzlakowanej uczciwości wykonawców testamentu, zgodziliby się poręczyć w Banku pewną sumę na kosztą potrzebne do spełnienia ostatniej woli s. p. Kajetana Kickiego?—Dług taki możnaby sposobem amortyzacji spłacać z corocznych dochodów, jakieby dobra same przynosiły.

Tylko więcej dobrych chęci i szczerości—a wspólnymi siłami dadzą się nietylko takie ciężary udźwignąć.

* * *

W dniu 26 Maja 1876 r. położono kamień węgielny pod nową synagogę na Tłomackiem, a w niepełną półtrzecia roku, dzięki ofiarności i dobrej woli, stanął okazały gmach według planu p. Leandra Marconiego z materiałów wyłącznie prawie krajowych zbudowany.

Ogólny koszt budowy wynosi przeszło 300,000

rs., nielicząc pieniędzy za plac zapłaconych i wartości bogatych darów służących do ozdoby świątyni, która śmiało uchodzić może za jedną z najwspanialszych tego rodzaju. Komitet budowy nowej synagogi utworzony został dnia 12 Października 1870 roku pod przewodnictwem dra L. Natansohna z p. Stanisława Brunnera, Jozuego Irlichta, S. Lewentala, H. Majera, Józefa Poznańskiego i Henryka Reichmana wraz z członkiem komitetu synagogi przy ulicy Danielewiczowskiej, p. Arturem Braunsteinem.

W d. 26 zeszłego miesiąca odbyło się uroczyste otwarcie świątyni i wniesienie ródół wśród śpiewów i modlitw nabożnych. I słyszeliśmy tam ustępy natchnione wysoką tolerancją i wyrozumiałością, która, oby odtąd była hasłem nowej ery dla naszych Izraelitów wraz z otwarciem nowej świątyni, o której sklepienia odbiły się poraz pierwszy takie słowa modlitwy:

„Nie ciesz się upadkiem wroga twojego. Nie będziesz uciskał, ani ograniczał obcego“.

„Kochajcie obcego bez względu na to, w jakiej świątyni Bogu cześć oddajcie“.

„Poganin, który żyje cnotliwie, równym jest arcykapłanowi“.

„Nie będziesz pogardzał Edomitą, gdyż on jest bratem twoim“.

„Nie będziesz pogardzał Egipcjaninem, albowiem jak obcy był na jego ziemi“.

Izraelici nasi święcili w zeszłym kwartale dwa ważne rezultaty swej solidarności: jeden na polu religijnem i wyznaniowem, drugi na polu oświaty. Otworzyli szkołę postępową dla swoich dzieci i świątynię dla współwyznawców religii Mojżeszowej.

Wkrótce na Lesznie gmina ewangelicko-reformowana otworzy wrota swego kościoła, sięgającego wieżę ponad inne kościoły; powstał on również z ofiarności prywatnej i zabiegów troskliwych o chwałę Bożą wyznawców.

A nasz kościół Wszystkich Świętych na Grzybowskim placu?...

Wznosi się powoli, powoli, jakby nie było już komu podźwignąć go w górę.

* * *

W ciągu zeszłego miesiąca przybyły nam dwie szkoły, których zakres wprawdzie w stosunku do ogólnej oświaty jest mniejszym, ale mimo to serdecznie witamy obie instytucje i życzy im pomyślnego rozwoju.

Pierwszą jest szkoła dramatyczna otwarta pod kierunkiem i za staraniem p. Emila Derynga, b. reżyssera Teatru Rozmaitości, doświadczonego pracownika na scenie polskiej. Pan Deryng na uroczystym akcie otwarcia szkoły, który się odbył w d. 24 Września w sali teatryku Dobroczynności, przyrzekł, iż nowo-założona, a właściwie wkrzeszona tylko, instytucja kierować się będzie takimi zasadami, jakimi niegdyś kierowała się w Warszawie jej protoplastka pod opieką s. p. Wojciecha Bogusławskiego istniejąca, a od r. 1815 prowadzona dalej przez znakomitego niegdyś artystę sceny tutejszej Bonawenturę Kudlicza.

Nie da się zaprzeczyć, iż w dzisiejszych warunkach szkoła dramatyczna jest wielce pożądaną, gdy się zwłaszcza uwzględni, że po ubyciu ze sceny pierwszorzędnych naszych talentów, pozostaną *dziczki*, że tak powiemy, na jej gruncie wyrosłe, z których ani owoców, ani wielkiego pożytku spodziewać się nie możemy.

Jeżeli tedy p. Deryng z sumiennością zamiłowanego ogrodnika zabierze się do pielęgnowania młodych szcepów, dbać będzie, aby nie wybujały, aby nabrały żywotnych soków nauki i rozwinęły się prawidłowo, wówczas przynieść może scenie polskiej niemałe przysługi; ale też z bezwzględnością ogrodnika wypłeniać musi chwasty, jakie się najczęściej cisną na grunt sceniczny i nie dać się omamieć wysokiej z samego początku liczbie kandydatów obojej płci, pomnąc, że więcej uznania zyska mu jeden dobrze pokierowany talent niż sto zwabionych mierności.

Dowiemy się zresztą z pierwszego popisu, ile po nowej szkole dramatycznej i jej uczniach spodziewać się będzie można, a wyznać trzeba otwarcie, iż oczekujemy go z niemałą ciekawością.

Z praktyczniejszych narazie usiłowań, zanotować winniśmy powstanie nowego zakładu przemysłowo-rękodzielniczego dla kobiet pod kierunkiem panny Julii Angel, poświęcającej się od lat najmłodszych zawodowi wychowawczemu. We wspomnianym zakładzie, mieszczącym się przy ulicy Smolnej pod N. 6, udzielane będą nauki następujące: 1) krój i szycie bielizny; 2) krój i szycie sukien; 3) krój i szycie rękawiczek; 4) introligatorstwo; 5) retuszowanie fotografii; 6) buchhalterya.

Jak widzimy, założycielka zakładu wybrała pomiędzy zajęciami dla kobiet najdość niebezpieczne i najpraktyczniej spożytkować się dające.

Dzisiaj, gdy jeszcze nie udało się ani rozsądnych granic, ani praktycznych warunków oznaczyć w uorganizowaniu pracy kobiecej, ściślejszy zakres programatów tego rodzaju zapewnia więcej pożytku i warunków powodzenia niż zbyt szeroko zakresłone plany nowoczesnych reformatów w tej kwestyi. Gdyby jeszcze zakład panny Angel objął dział gospodarstwa domowego, nie wątpimy, iż przy sumiennem i umiejętnem wypełnianiu swego zadania mógłby kobietom naszym prawdziwy przynieść pożytek.

Uzupełniłby niejako pewien brak w domowym systemacie wychowania dziewcząt, z których większość matek stara się usilnie zrobić tylko „szykowne panny“ bez względu na przyszłe ich obowiązki domowe i gospodarskie nieubliżające bynajmniej choćby najwyższemu pensjonarskiemu wykształceniu. Panna umiejąca skroić suknię, uszyć koszulę, zgotować obiad przy wszystkich wrodzonych i nabytych przymiotach ciała i umysłu—zyskuje tylko na wartości i zaszkodzić sobie nie może w oczach nawet najidealniejszego mężczyzny, a wcale nie idzie za tem, aby, umiejąc to wszystko, musiała z tego koniecznie korzystać.

* * *

W jednym z pism niemieckich wyczytaliśmy niedawno wiadomość o projekcie założenia muzeum, a właściwie galerii wszystkich portretów Goethego i pamiątek po nim pozostałych.

Nie przesadzimy wcale, utrzymując, że gdyby pewnego pięknego poranku przyszła komu nad Spreą lub Menem myśl zbierania wszystkich guzików lub pończoch pozostałych po germańskich znakomitościach, znalazłoby się natychmiast mnóstwo zwolenników popierających taki projekt.

Jakże my pod względem czci dla naszych wielkości, już nie prowincjonalnej sławy, ale wszechświatowej—jesteśmy obojętni!

Wiadoma rzecz powszechnie, że staraniem dra Artura Wołyńskiego we Florencyi—powstaje w Rzymie Muzeum Kopernika. Gdyby taką inicjatywę podjęli Niemcy, Francuzi lub Anglicy—przybyłby światu jeden dowód więcej, jak te narody szanować umieją pamięć wielkich swych mężów.... Niestety! musimy w tym wypadku zawołać: „Kopernik był Polakiem!“

Wstyd wyznać, że usiłowania jednego człowieka muszą zastępować działalność ogółu.

Dr Wołyński pomimo najlepszych chęci ma ciągle ręce związane i porać się musi z trudnościami, jakie brak potrzebnych do wykończenia muzeum środków przedstawia. Potrzeba jeszcze tylko 4,000 lirów, t. j. czterdziestu założycieli z wkładami po 100 lirów (około 36 rs.), aby w Wiecznym Mieście nad Tybrem stanęła pamiątka godna wielkiego astronoma.

Dr Wołyński (*Firenze, via della Scala N. 43*) bez tej drobnej kwoty nie może dokończyć rozpoczętego dzieła i wyczekuje z dnia na dzień: czy też pomiędzy kilkunastoma milionami nie znajdzie się czterdziestu rodaków wiekopomnego męża, którzyby zrozumieli, że taka mała ofiara przyniesie im zaszczyt przed światem; że nie dość sprzeczać się i prawować słowami o pochodzenie Kopernika, ale należy także prawa swoje stwierdzać czynami!...

Z poezyj Heinego

W przekładzie Adama Mieleszki.

P O W R O T.

LI.

Dwoje twych oczu—to dwa turkusy;
Zorza ich blaskiem rozświta:
O! najszcześniejszy z szczęśliwych, który
Uczuć w nich zorzę powita.

Serce w twej piersi—to drżący dyament
W błyskawic dumnej koronie:
O! najszcześniejszy z szczęśliwych, komu
Pierwszą miłością rozplonie.

Usta twe ciche—to śpiący rubin,
Pieśń utajona wśród ciszy:
O! najszcześniejszy z szczęśliwych, który
Słowo jej natchnień usłyszysz...

Lecz gdybym kiedy tego szczęśliwea,
Gdy dąży krokiem lekliwym,
Spotkał sam na sam w lesie... O! pewno
Nie byłby długo szczęśliwym....

LXXV.

Słoneczko zeszło, zbudził się świat;
Po rosie dzwonią dzwoneczki stad.
Słonko ty moje! o, serce me!
Jakżebyś jeszcze chciał ujrzeć cię!

Stęskniony patrzę w okienek rząd....
Żegnaj! odchodzę daleko ztąd!
W okienkach tylko firanka drży...
Pewno słoneczko me jeszcze śpi!

MELESZKOWIE

POWIEŚĆ

PRZEZ

Zbigniewa.

(Dalszy ciąg).

Do p. Karoliny nigdy nie miał wielkiej sympatii: zanadto bowiem była swawolną i ciągle mu robiła psoty w małoletności, wyrosłszy zaś na dużą pannę, tak się zrobiła dumna, tak przymruzała oczy i tak szydziła dowcipnie ze wszystkich i ze wszystkiego, że raz p. Zarembo odważył się powiedzieć jej w oczy: „panna kasztelanka nie jest naturalna.“

Był to wielki zarzut w przekonaniu pana rotmistrza; sam nawet się *skonfuzył*, iż taką obelgę śmiał wyrzec.

Lecz p. Karolina, nie pojmowała wcale ducha tych słów i odrzekła, śmiejąc się serdecznie.

— Więc jestem *sztuczna*, to jest niby lalka z wosku?... ah! mój poczciwy rotmistrzku, za to ty, jesteś taką *naturą naturalną*.... że kto wie, czy dziwy ludzkie nie pozazdrościliby ci twojej naiwności!... Dlaczego pan się nie nazywasz Symplicyusz—tego nie pojmuję.....

I śmiała się — i szczebiotała jak zwykle, przymrużając habrowe oczęta, a ukazując perliste ząbki.

Rotmistrz zwykle ustępował,—i spoglądał tylko na swoją cudną pannę Marylkę, powtarzając w duchu: „prawda i fałsz!... prawda i fałsz!... prawda i fałsz!“....

Był to trzykrotny wyrok dany na obie siostry, dany duchem, myślą i uznaniem.

Lecz zadługi zrobiliśmy nawias od rozmowy rotmistrza z p. Maryą. Wracamy już do dalszego ciągu.

Owoż, kiedy stary wążal dostał w czoło pocałunek z koralowych ust Junony — czegóż-by za to nie uczynił! Odmłodził; zdało się, iż urosł w jednej chwili; nabrał dawnej rycerskości i szukał szabli u boku, by iść bić się z *każdym*, kto stanie na drodze do szczęścia „Marylki.“

— A więc, p. kasztelanko, a raczej najmilsza moja pani, mów! rozkazuj! jestem cały na twoje usługi, do ostatniej kropli krwi mojej.

I to rzekłszy, uderzył się gwałtownie kułakiem w szeroką, poczciwą pierś żołnierską.

— Ani krwi ani życia twego nie żądam, kochany panie rotmistrzu; owszem, pragnę, abys żył jak najdłużej, jako żywy przykład prawości i załości: żądam tylko, abys nie oponował temu, że ja chcę pojechać na Borówkę do leśniczych — bo ja muszę widzieć Gerarda, muszę!... dodała z mocą, jeśli się on *lęka*, by go nie *poznano!*.... ja się nie będę *lękać*, choć mię tam *poznają!*....

Maryja bezwiednie swoją „ironią boleści“ uwłaczała i charakterowi i miłości Gerarda. Ale, jak to mówią: — „Żal uwagi niema.“

Zatrzymała się na jednym zdaniu poczciwego Zaremby: „*a jeśli by go tu poznano?*.... Sądziła, że to jest echo jej najdroższego, najdzielniejszego, najodważniejszego Gerarda!... jakim był niegdyś (to jest przed parą laty) a dziś, ten „ideał“ *lęka* się przyjść, gdy go wzywa miłość — „*by go nie poznano!*“

— „Więc egoista! więc siebie kocha nad wszystko!... i życie swoje nazbyt ceni, by je dla miłości mógł poświęcić.“

Tak szeptał jej w uszko zły duch kusiciel, co szydzi z „miłości“, a znowuż dobry anioł wołał:

— Więc jedź sama do niego — pogardź głupiem i przesadami świata — przekonaj się, a dopiero będziesz go sądzić!

I Maryja usłuchała głosu tego dobrego anioła; i z niezłomną mocą, która była główną cechą jej charakteru, powiedziała sobie: — „pojadę sama do niego!“

— Tandem tedy, stanęło, że jedziemy do leśniczych Kopców na Borówkę—rzekł uroczyście pan Zarembo—bardzo dobrze, śmiem tylko zrobić małą uwagę pannie kasztelance, że o tej porze—a to jest druga z północy... zaledwie pieją koguty—w Borówce śpią wszyscy twardym snem, i jeśli tam pojedziemy ich budzić, pomyślą, że napad Tatarów!... Pan Kopeć gotów swoją gwizdawką zwołać wszystkich gajowych... i piękna będzie awantura, gdy się doniesie do p. Kasztelana... do p. baronowej... i....

— I do kogo jeszcze?—mówiła z uśmiechem piękna fantastyczka. Zrozumiała dobrze, że zacny rotmistrz tak prawil trzypotrzy jedynie, aby nieco rozerwać jej tęsknotę i smutek.

— A-no juści do pana generała Borejszy!... „narzuczonego“, jak mówią, p. Maryi Meleszko.

— Powiedz pan raczej „narzuczonego“ przez ciotkę—ale, mój drogi panie Zarembo, czyż pan myślisz wraz z innymi, że ja wyjdę za pana Borejszę dla jego milionów?— Toć on mógłby być moim ojcem!... Zresztą—dodała z gięstem oburzonej godności dziewczycy — ja przecież nie jestem *towar*, nie dam się sprzedać.... gdybym nawet nie kochała Sołłohuba, tak jak go kocham.... gdybym nie po przysięgła być mu wierną do grobu... i tak-bym nigdy nie została żoną p. Borejszy!

— Przecież... wszelakoż... jakoby... ciągnął dyplomatycznie p. rotmistrz — sam JW. Kasztelan wzmiankował mi o tem... iż to rzecz jakby ułożona....

— Ojciec, za namową ciotki zgodzi się na wszystko, lecz i ja mam swoją wolę, mam serce, zresztą mam sumienie, na którym nikt ciężyć nie może.

— Naturalnie! naturalnie, osobista wolność przedewszystkiem! — tak sam Chrystus nauczał — lecz światowe dzieje — mamona, i tem podobne bzdurstwa odbierają częstokroć tę wolność człowiekowi, daną od Boga!

— Mnie jej nikt nie odbierze!—zawołała z dumą

i zapałem—a głos jej drżał; oczy podniosła do góry, jakby wzrokiem sięgała nieba, jakby czyniła przysięgę w duchu, że zawsze zostanie wolną. Jej wolność to była miłość.

Rotmistrz stał mileczący w głębokiem skupieniu ducha, jakby się modlił, prosząc Boga o siłę i wytrwałość dla tej młodej bohaterki. Nareszcie odezwał się bardzo cichym głosem:

— Panno Marylko... cóż, czy pani myślisz zostać na zawsze panną, lub wstąpić do klasztoru?

— Ani jedno, ani drugie—odparła rezolutnie— jeśli Gerard kocha mnie, jak kochał dawniej... to będę jego żoną, będę dzielić los jego, i pójdę z nim gdzie on pójdzie.

— Żoną „banity“! wrzasnął rotmistrz, chwytając się oburącz za głowę.

— Tak—żoną *banity!*....

Po chwili dodała spokojnym głosem:

— O godzinie ósmej, każesz pan osiedlać mego konia, również i swego, i gdy tu wszyscy spać będą w najlepsze, my pojedziemy do Borówki, a zresztą, gdybyśmy się i trochę spóźnili z powrotem, mego ojca ani ciotki to nie zadziwi, wiedzą bowiem jak często ranne odbywam spacery konno.

— Jeszcze jedną śmiem zrobić uwagę.

Kasztelanka odparła z uśmiechem:

— Ale, pan, panie Zarembo, naprzykrzasz mi się, jak Lot Panu Bogu, ze swemi warunkami— „a jeśli będzie dziesięciu sprawiedliwych?—a jeśli pięciu?—a jeśli dwóch?.... Otóż ja sądzę, że tu jest *jeden* tylko sprawiedliwym — i tego właśnie chcę ujrzeć!

Piękna pani była rozpromieniona radością, na myśl, że ujrzy Gerarda, i dała wodze swemu dowcipowi, co się jej rzadko zdarzało od dwóch lat; to jest od czasu, kiedy książę Sołłohub, jako *banita*, musiał uciekać z kraju.

— Otóż w tem sęk!—odrzekł również wesoło pan Zarembo—że jeśli pojedziemy konno do Niniwy,— a w tej Niniwie „on sprawiedliwy“ nie zechce nam się ukazać?—to co poczniesz?

— Każem spalić Niniwę, czyli Borówkę, a z nią Kopcia, Kopciowę i Kopciankę! A teraz dobranoc panu! Muszę choć parę godzin odpocząć. Tyle wzruszeń w jednym dniu, to rozstraja — a ja chcę być silną i zdrową! O ósmej punkt niech stoją osiodłane konie.

V.

Borówka był to bardzo ładny *Avuls*, należący do klucza Meleszkowskiego. Jak to zwykle folwarki od wielkich dóbr, a jak na Litwie zowią *Avulsy*, zdaleka mają pozór bogatego dworu, a to z powodu, że wszystkie zabudowania są murowane, tak stajnie, jak i owczarnie, oprócz zwykle domu, gdzie przemieszkują jakiś pół-ekonom, czyli zawiadowca.

Lecz w Borówce i dom, acz drewniany, nie był tak lichym jak po innych folwarkach, owszem, nie murowany, co prawda, (bo mury zwykle są przeznaczone li dla bydła), ale był obszerny, wygodny i pomalowany z wierzchu na biało, aby nie ustępował kolorem rezydencyi koni i baranów; okienice zielone (lecz te już pan leśniczy tak pomalował, który dopiero od dwóch lat tu przemieszkuje). Dawniej, mieszkali tu „zawiadowcy“, najczęściej jaki stary gospodarz wieśniak — co był *mądry* do hodowli bydła, a wierny w doglądaniu dobytku pańskiego. I było już ich kilkunastu na Borówce—lecz pan rzadca Gomulecki, z żadnego nigdy nie był zadowolonym, zawsze dowodził: „że te chamy, co-to ekonomują, gorzej jeszcze kradną od samych ekonomów.“ Z leśniczymi też samo się działo: co pół roku prawie odprawiał któregoś z nich dla tych samych powodów. Nareszcie natrafił na takiego, co mu wielce przypadł do gustu... a był-to Jmé pan Protazy Kopeć — ponoś kolega ze szkół pana Gomuleckiego.

I owo ten Kopeć jest już dwa lata leśniczym, mieszka na Borówce jak pan, jeździ do kościoła koczobrykiem, a pani Kopciowa i panna Kopciowna w Niedziele, na mszy świętej, nie ustępują w strojach paniom obywatelkom.

Lecz nikt się temu nie dziwi, bo wszyscy oficya-

liści p. Meleszki pokazują się zawsze z godnością osoby swego pryncypała.

Pan Gomulecki dowodzi, że od czasu jak jest leśniczym Jmć pan Kopeć las rozplenił się.

Pozwolił sobie (choć to może znudzi czytelnika), poświęcić kilka słów tej tak *sumiennej* rodzinie Kopeców, tembardziej, że obecnie przemieszkuje u nich nasz „bohater“... chociaż dodam w nawiasie, że w niniejszej powieści, postanowiłem, aby nie było ani „bohatera“ ani „bohaterki“, jeno wszyscy zwyczajni śmiertelnicy, lub też wszyscy bohaterowie.

P. Protaza Kopeć był to exemplarz, jaki dziś rzadko już da się spotkać — coś osobliwego w swoim rodzaju! Był to mały, czupurny człowiek, mający lat około pięćdziesięciu, czerstwy, rumiany jak pomidor, z włosami krótko ostrzyżonymi — sztywnymi jak u jeża, przytem — krzykała, gębacz, raptus, a w gniewie niemający pamięci, pieniał się jak zwierzę i rwał na sobie odzież, wołając wściekle: „Chryste Panie! czego ci ludzie chcą odemnie, spokojnego człowieka!“

Pieniądze miłował nadewszystko, nad żonę, nad córke; wszelakoż miał jedną wielką zaletę ten gwałtownik, że lubił dotrzymać *danego słowa* (naturalnie za pieniądze). Jeśli komu co przyrzekł, a był dobrze zapłacony, z pewnością dotrzymał obietnicy, bodajby z własnym szwankiem, i wówczas mówił do żony: „widzisz, moja Małgosiu, honor przedewszystkiem!... jam człowiek honorowy!... znają mię ludzie z tego.“

Małgosia potakiwała, mówiąc sumiennie:

— A juści, ty masz aż *zanadto* honoru, — to tobie często na złe wychodzi!

— Cóż robić? taka moja szlachecka natura!

Pani Kocpiowa była to sobie poczciwa owieczka; bała się męża jak ognia, gdyż częste kuksańce odbierała, jako dowody miłości, — a sińce na twarzy, były to stygmata wierności małżeńskiej!... Przyzwyczaiła się do nich biedaczka przez lat dwadzieścia pięć — jak pies przywika do obroży — i potem kasa rękę co-by ją zdjąć chciała!

Co najzabawniejszym było w tem małżeństwie, to wieczna „niewinność“ p. Kocpia, a wieczna „wina“ p. Kocpiowej.

Poczciwe kobiecisko, rządne, gospodarne, ciche, potulne i prawie zawsze milezące, odbierało codzień przydomki „Hexy, Xantypy, krzykaczki i awanturnicy“.

I kto wie, czy p. Kocpiowa w końcu nie uwierzyła temu sama, że jest „krzykaczką“ i „awanturnicą“, gdy słyszała to po kilka razy na dzień. Nareszcie, gdy się p. Kopeć wysapał, przychodził do żony i mówił łagodnym głosem:

— Magdusiu, powiedz, za co ty mnie tak mordujesz? com ja tobie zrobił złego?... ja cichy, potulny jak nowo-narodzone dziecko, a ty wiecznie krzyczysz, dom rozbijasz, i od rana do nocy nie robisz jeno same *awantury!* Wstydz się, wstydz, to brzydko dla kobiety być taką gwałtownicą!...

Pani Kocpiowa na to odpowiadała rutynicznie:

— A, no, przebac mi, mój Protazeńku, taka to już moja natura!

— To się popraw, to się umityguj w swej zapalczywości niewieściej!...

— Od jutra z pewnością się poprawię!...

Nie powiemy, żeby pan Kopeć miał złe serce, owszem, miewał nieraz popędy nawet szlachetne, lecz cóż, kiedy gwałtowność je wnet tłumiała! Nie mógł ścierpieć, by się ktokolwiek jemu oparł, był z natury „satrapą“, choć w rzeczywistości tylko „leśniczym“. Przyznać mu wszakże należy, iż był rządym, gospodarnym, umiał grosz zbierać i oszczędzać; nadto, nie robił ludziom krzywdy — chyba swoim językiem, kiedy był rozsierdzony, a rozsierdzał się bardzo często.

— To już jego taka choroba, mówiła pobłaźliwie żona, on bardzo „łagodny“ z natury, tylko ma chorobę w kiszkach i ta go tak męczy!

Owocem tego małżeństwa była panna Julia Kocpiówna — tegą, zdrową i wcale łagodną wiejską dziewczyną. Może dla gustu estetycznego była trochę za tłusta, za czerwona, wszelakoż to nie psuło wcale ogólnej harmonii wdzięków panny Kocpiówny.

Była to mocna brunetka, z czarnymi jak dwa węgle oczyma; usta czerwone jak wiśnia, zęby trochę za duże, ale białe i zdrowe, ręce trochę za grube

i burakowego koloru, a nóżka... to już naprawdę mogła liczyć, że jej nie zdradzi! — były to bowiem dwa potężne piedestały, które śmiało deptały po drodze życia.

Panna Julia zawsze była wesoła, chichotała się ze wszystkiego, gryzła wiecznie orzechy, nieękając się o swoje ząbki, i śpiewała po całych dniach, w domu, w lesie, na polu — a piosenek moc umiała.

To też wszyscy nieżonaci ekonomowie, pisarze prowentowi z okolicznych wsi, a nawet i mniejsi dzierżawcy smalili cholewki do panny Julii: raz dla jej osobistych przymiotów; powtóre, wiedziano dobrze, że leśniczy pan Kopeć da niezłe wiano za swoją jedynaczką!

Lecz p. Julia wcale nie myślała o mężu, i choć ma już rok dwudziesty, zachowała wszystkie gusta wieku dziecięcego...

Swawolić, śmiać się, zbierać grzyby, śpiewać, i gryźć orzechy: to były najmiłsze rozrywki panny Kocpiówny.

Do książek miała wyraźny wstręt, nienawidziła tych wszystkich romansowych „banialuków“ i dziwiła się niezmiernie, dlaczego jej matka tak lubi czytać książki, że nieraz, choć dobrze zmęczona gospodarką całodzienną, jeszcze czyta dopóżna w nocy jaką ciekawą „*historyę*“, od której się ode-rwać nie może. To była jedyna słaba strona pani Kocpiowej, że tak namiętnie lubiła „*historyę*“. Pan Kopeć, choć sam nie był literatem i nader rzadko zaglądał do książki, wszelakoż miał pobłażanie na tę słabość żony; nieraz tylko srodze gderał, że marnotrawi świece, czytając tak długo jakieś tam „*Arabskie awantury*“. Wówczas p. Kocpiowa jeła opowiadać ciekawą „*historyę*“ mężowi i opowiadała z taką werwą, że p. Kopeć słuchał — słuchał — aż zachrapał!...

Te wszystkie romanse „*historyczne*“, pochodziły zwykle od kawalerów, ubiegających się o względy p. Julii; przysługiwali się czem mogli oficjalnie: jeden przynosił kwiaty, drugi orzechy, trzeci książki; panna Kocpiówna, w kwiaty stroiła głowę, zjadała natychmiast orzechy, a książki oddawała matce. Prosiła tylko zawsze o nowe „*piosenki*“.

O! bo piosenki lubiła niezmiernie. A kiedy zbierała grzyby, to słycać ją było w całym lesie, tak donośnym, dzwinkowym głosem wywodziła.

Pan Kopeć niezmiernie kochał swoją jedynaczkę — i wiecznie powtarzał: „to moja natura: łagodna, cierpliwa, i wcale nie *impetyczka* jak matka; nie czyta *romansów*, bo mądra, wie, że te bzdurstwa nikomu nie dobrego nie zrobiły!... a pieniądze lubi, o! lubi!“

(Dalszy ciąg nastąpi).

ANTONI MALCZESKI

przez

Władysława Chodzkiewicza.

(Dalszy ciąg).

Wytozony o to proces panu Wojewodzie skończył się na niczem, bo już oddawna prawo było deptane w Polsce, a jeden jeszcze więcej dowód tego, jak smutne, zawichrzone, moralnie bezładne były owe czasy, stanowi to, że rodzina nieszczęśliwej ofiary zgodnym sposobem przyjęła zapłatę krwi (*).

(*) Wypadek cały szczegółowo, bardzo sumiennie, na podstawie pamiętników współczesnych i dowodów urzędowych opisał Kraszewski w opowiadaniu historycznym *Starościna Bełzka*; podane tu są wszystkie wersje, jakie po śmierci Gertrudy obiegały o jej losie, podane są i wszystkie fałszywe wieści, jakie Potoccy rozmyślnie rozpyszczali, aby los ten zataić. Lekkomyślności ojca Gertrudy, Jakóba Komorowskiego, dostatecznie dowodzi samo oddanie córki 18-letniemu dzieciakowi, który jeszcze woli swojej mieć nie mógł, oddanie jej potajemnie przy osobistych sto-

Autor niniejszego zarysu w młodości swej słyszał od ludzi starych, którzy znali jeszcze wykonawcę strasznej woli, a raczej swawoli pańskiej, że był gracyalistą, jak to nazywano u nas, stare, pensyjonowane sługi pańskie, i że umarł spokojnie — spokojnie! to może za wiele; dosyć, że umarł nienagabywany wcale za swój czyn występny.

III.

Malczeski, żył w czasie tak blizkim jeszcze tego wypadku, słyszał od dzieciństwa ludzi opowiadających szczegóły tej straszliwej historii i wybrał ją sobie za przedmiot swojego poematu; jako zaś mistrz prawdziwy zostawił jej całą pierwotną postać i żadnym osobistym dodatkiem nie starał się ubarwić tego, co mu się wydało, arcy-sprawiedliwie, bardziej dramatycznym w swojej prostocie, w swej nagiej prawdzie, niż wszystkie sztuczne wymysły, choćby najżywszej wyobraźni.

Przedmiot ten zresztą, jakkolwiek dramatyczny i potężny, jest kanwą tylko, którą geniusz poety umiał zapełnić i pokryć haftem niesłychanego przepychu i blasku. Jak w sztuce malarskiej tak w poezji i w muzyce są dwa rodzaje wrodzonych talentów: jedne szukają rysunku i linii, drugie barwy i światła. Malczeski do tych ostatnich należy.

Wskutek właśnie tego usposobienia jego poetyckiej zdolności próżną byłoby rzeczą szukać w *Maryi* jakiegoś olbrzymiego układu przedmiotu, jakichś wyszukanej czystości zarysów albo uczonych i głęboko obmyślonych kombinacyj. *Marya* jest to powieść prosta, naturalna, prawdziwa; rozwija się więc bez przymusu, bez przesady, bez żadnego zawikłania. Co w niej uderza szczególnie — to koloryt, to sposób, w jaki są oddane i wyrażone uczucia działających osób to niesłychana, a wszędzie rozlana, *rzewność*, którą sam wskazał w przypisaniu swej *Maryi* Niemcewiczowi (*), a która, jak

sunkach i dalekim nawet powinowactwie z Potockimi. Mąż *Maryi*, Stanisław Szczęsny Potocki, później marszałek Targowicy ur. 1752 r. ożenił się d. 26 Grudnia 1770 r. We dwa miesiące potem Starościna Bełzka już nie żyła. Zbojeckiego napadu na dwór Komor. w Nowem-siele dokonano d. 13 Lutego 1771 r.; myśl podała pani Mniszchowa. Według jednych, śmierć była przypadkowa, bądź z uduszenia, bądź z utonięcia; według innych, napastnicy, wiedząc co robią, wrzucili nieszczęśliwą ofiarę do przerebła. Rozbójników było 50 — przewodził wszystkim niejaki Dambrowski. Okoliczności śmierci nie są do dziś dnia wyjaśnione. Wersya o utopieniu przyjęta do poematu, obiera sobie Bug, Boh, wreszcie strugę pod wsią Reklinię w okolicach Nowego-Sioła. Podanie przenoszące scenę na Ukrainę pod miasteczko Sawrań, najmniej, ze względu na odległość, prawdopodobnem się wydaje. Szczęsny okazał już w tej pierwszej miłości swojej, w pierwszej walce życia, zarody słabego, nikiemnego charakteru. Na początku Marca 1771 roku zgodził się na wytoczenie sprawy rozwodowej, nieusilując nawet zobaczyć się z żoną, którą wszyscy, sam nawet ojciec, aż do r. 1773 za stojącą przy życiu uważali. Wytozony proces przez Komorowskich przeciał pasmo życia dumnemu magnatowi — ojcu Szczęsnego. Już po jego śmierci zapadł wyrok (w Kwiet. 1774 r.), do którego aż sejm wyznaczył kommissarzy. Sprawców fizycznych rozboju — na śmierć, Potockiego zaś, któremu jakoby po śmierci już dla zadośćuczynienia sprawiedliwości głowę uciąć miano, rzeczywście tylko „za nieogłędność w przyjmowaniu służących do usług“ (*pro sola inanimadvertentia in susceptione personarum ad servitia*) na 4 tysiące grzywien pod zagrożeniem banicy — skazano. Potocki (już sam Szczęsny) zapłacił, i zaraz w Listopadzie się ożenił, z córką tej samej Mniszchowej, która do gwałtu podzegała. Komorowscy nie zadowolnili się grzywnami. Jako zapłatę krwi brali wsie i wioski w dzierżawę i na własność; ostatecznie oddano im w roku 1778 na wieczność miasto Witków w woj. Bełzkim. Widownia porwania *Maryi* leży pod samym Lwowem, tylko o półtorej mili od miasta.

(Przyp. Red.).

(*) Przypisanie to przedrukował w wydaniu swoim Bielowski, wyszło ono we Lwowie w latach 1835 i 1843. Odmienny tytuł tej ostatniej edycji jest tylko prostą spekulacją księgarską.

(Przyp. Red.).

mówiłem, jest jego wyłączną cechą i jego nienależnym przymiotem.

W poemacie Malczeskiego podobnie jak w rzeczywistej przygodzie Pan Wojewoda, pogodzony z synem, ofiaruje też zgodę synowej i jej ojcu i Maryję w dom swój zaprasza.

Kozak posłany z takim listem do Miecznika, pędzi przez ukraińskie stepy. Od tego się powieść zaczyna. Jest to prawie pierwsze wspomnienie Ukrainy w naszej poezji, a to wspomnienie jest zarazem jednym z tych obrazów, niesłychanej prawdy i niezmiernego wdzięku, w których malowaniu Malczeski niema może równego sobie artysty. Do tej właściwości jego talentu dodać należy jeszcze i to, że w owe czasy jeszcze u nas nie myślano i nie pisano o Ukrainie. Poeci nasi wówczas jeszcze nie podnieśli byli rzuconej w niepamięć lutni wieszczego Bojana; nie wyśpiewał był jeszcze wówczas swoich czarodziejskich pieśni Bohdan Zaleski, najulubieńszy z naszych liryków. Bóg daj, by nam żył długo jeszcze ten, do którego Adam Mickiewicz posłał kiedyś to wezwanie, co rozbrzmiało po całej Polsce wraz z jego dumami, powtarzane przez całe pokolenie współczesnych:

Słowiczku mój! a leć, a piej,
Na pożegnanie piej,
Wylanym łzom, spełnionym snom,
Skończonej pieśni twej!...

I pod tym więc względem Malczeski wyprzedził nowe objawienie się ruchu literackiego, prawdziwie narodowego, u nas. Wieszczem, można powiedzieć, natchnieniem, przepełnił on, poznał i odgadł, ile w tym ruchu miało się wzbudzić wspomnień przeszłości, żywotnych zasobów języka, nowych form poetycznych i nowych dążeń i nie wahając się śmiała na nie położył rękę, przyswoił je sobie bez najmniejszej obawy. Rzecz dziwna: Wołynianin, uczeń szkoły Krzemienieckiej, on, co tyle lat przeżył w Warszawie i za granicą, nietylko zrozumiał Ukrainę; ale jeszcze zrozumiał jej pieśni ludowe, pojął wyłączną, tym tylko pieśniom ulubioną i właściwą formę, w której porównanie uczuć człowieka z wrażeniami i obrazem otaczającej go natury, jest sposobem poetyckim, *manierą*, że użyję obcego wyrażenia, jej narodowych śpiewaków.

Na pierwszych zaraz kartkach *Maryi* znajdujemy dowody przyswojenia sobie tego, jakby nałogu, ludowej poezji ukraińskiej.

„Ciemny Boh po granitach srebrne szarfy snuje,
A śmiały, wierny kozak myśl pana zgaduje;
Szumi młyn na odnodze i wróg w łozie szumi,
A żwawy, wierny konik kozaka rozumie“.

Są to wiersze jakby żywcem wzięte z jakiej ukraińskiej dumki. Dziś nas to mniej dziwi i uderza, bo szanowy patriarchy Ukraińskiej Szkoły i jego naśladowcy oswoili nas z pieśniami, z życiem i z przeszłością opiewanej krainy, ale wówczas, w chwili, kiedy Malczeski pisał swoją *Maryję*, był to prawdziwy fenomen.

Wróćmy do poematu. Kiedy tak śpieszy z listem posłany kozak, jakby z *wiatrem ukraińskim puścić się w zawody*, Malczeski maluje nam ten pośpiech nowem i pięknem przyrównaniem jego biegu do lotu jaskółki w następnym czterowierszu:

„A ty, czarna ptaszyno, co każdego witasz,
I krążysz i zaglądasz i o coś się pytasz,
Śpiesz się twą tajemnicę odkryć kozakowi,
Nim skończysz twoje koło oni ujęć gotowi“.

Po tak malowniczym wstępie poeta prowadzi nas na zamek Pana Wojewody, gdzie stary magnat pogodzony z synem wydaje ucztę dla przyjaciół grona; ucztę, co podsycana częstymi kielichy, długo w noc trwała, a winem zagrane głowy, jakby w zaczarowane prowadziła sfery.

„Do późnej nocy twarze ostre, malowane
Przodków, w długim szeregu zebranych na ścianę,
Zdały się iskrzyć nieraz martwemi oczami,
I śmiać się do pijących i ruszać wąsami“.

Stary Wojewoda nietylkoże się godzi z synem, nietylkoże synową do domu zaprasza, ale chce

jeszcze, aby syn był godnym tego szczęścia i chwiał o Maryję dobijał się rękę. Tatarzy kraj plądrują: jest to więc najlepsza sposobność do okazania swego mężstwa i obronienia zarazem najdroższego skarbu serca. Uczta więc na zamku miała cel podwójny: zgodę z synem i podejmowanie rycerstwa, które się garnęło pod znaki starego wodza, a któremu miał dziś przewodzić młody syn Pana Wojewody.

O świcie wsiedli na koń; ale nim jeszcze trąby się ozwały, poeta w krótkim ustępie, gdzie nam maluje starego Wojewodę w samotnej komnacie, jakby z żywego zdjęty autentyczny portret Bacciarrellego pendzla, patrzącego przez wąskie okno zamku na zebrane wojsko, w kilku wierszach niezmiernie sepośności i siły rzuca jakby złowieszczą przepowiednię przyszłości i składa w nich pierwszy zawiązek straszliwego dramatu.

Nakoniec dano znak! Ruszyły hufce naprzód:

„I w ciasną gotycką bramę suną się z łoskotem!“

Oto wyszli w otwarte pole, a opis tego pochodu rycerstwa, wśród rozległych ukraińskich stepów jest jednym z najświetniejszych ustępów *Maryi*. Nie chcemy tu krótkimi wyjątkami psuć tej mistrzowskiej całości. Niepodobna jest zresztą zrobić żadnego wyboru, bo wszystko należałoby przepisać bez żadnego wyjątku.

Przytoczymy tu jedynie ostatnie trzy wiersze tego ustępu, bo ze względu na piękność wyrażenia, trafność porównania, wdzięk obrazu — mało znam rzeczy, któreby można obok tego trójwiersza postawić:

„I poszli — poszli drogą za żwawym kozakiem,
Którego lekkie ślady od kopyt bez stali,
Wietrzyk z rosą jak dzieci piaskiem przysypali“.

Poeta kończy ten zachwycający obraz ulubionym mu zwrotem do porównania, w którym poraz pierwszy się przebija to uczucie rzewności i smutku, co później zaleje i pochłonie wszystko. Zniknęły hufce, a myśl po cichych i pustych polach błądzi samotna:

„Ale po polach błądzi, niesparłszy się na nic,
Jak rozpacz bez przytulku, bez celu, bez granic“.

Teraz poeta prowadzi nas do domu Miecznika, pod skromną szlachecką strzechę. Piękny i spokojny charakter tych obrazów cichego domowego życia, domowej głębokiej troski starego ojca i młodej córki, tem żywszem rozjaśnia się światłem, im większa jest sprzeczność pomiędzy wyniosłym i bogatym zamkiem a skromną strzechą szlachećca. Któż w Polsce nie zna, nie czytał tej części *Maryi*, co się zaczyna wierszem:

„Pod staremi lipami miecznik dumał stary!“...

Zdaje się, że wszystko, cokolwiek Malczeski posiadał najczulszego, najlepszego, najwznioślejszego w swem sercu; wszystko, cokolwiek zdolny był wydać jego geniusz, jako tkliwość, wdzięk i jakby powietrzne, przejrzyste dotknięcie niezmierniego pendzla — wszystko to zgromadził w tym obrazie Miecznika i Maryi. Żaden rozbiór nie potrafi wyświecić, wypowiedzieć, jakie to są sposoby, jakie władanie językiem, jaki poetyczny szyk wiersza, za pomocą których Malczeski doszedł do tak silnego a razem tak delikatnego efektu, jaki panuje w całym tym obrazku naszej szlacheckiej rodziny. Nosi ten obraz na sobie tak widome, niezaprzeczone piętno natchnienia, iż je tylko mógł wycisnąć prawdziwy mistrz i prawdziwy geniusz.

W tej postaci Miecznika, skromnej a silnej — prostej a wyniosłej jak olbrzym, Malczeski zamknął najszczytniejsze wyrażenie tej kontuszowej Polski, której naśladowcy jego umieli pokazać tylko ujemną, niską i gorszącą stronę. On jeden przeczuł, że wieszczą odgadł to, co widział i rozpowiadał nieznanemu mu wcale Pasek: wielkość w prostocie, mężstwo w skromności, poświęcenie w pokorze. Bo też nie wszystko było zgnilizną i zepsuciem w tym domu, co miał runąć z posady; w tej kontuszowej Polsce było coś jeszcze większego i świętszego niż rozpusta i swawola.

Malczeski to wyraził lepiej i głębiej niż ktokolwiek inny, kiedy mówiąc o Mieczniku, powiada:

„Chociaż ten czarny żupan smutny przy siwiźnie
Nosił i jasne barwy gdy służył ojczyźnie,
Ojczyźnie! której imię wśród boju i rady
I spornego wyboru i hucznej biesiady,
Czystym gorzało ogniem, a serce jak w wiosnie
Ptak do słońca, do niego skakało radośnie!“

W obrazie Maryi, jak mówiłem, Malczeski rozwinął całą siłę swojego talentu i najtkliwsze uczucia serca. Dwa wspomnienia osobiste a drogie, zdaje się, natchnęły tutaj poetę, i z tych dwóch wspomnień różnych, a przecież pokrewnych sobie, geniusz jego potrafił wyprowadzić tę prawdziwie anielskiej piękności i czystości postać Maryi.

Dwa owe wspomnienia wiązały się: pierwsze z czystym, młodzieńczym, nieczem niepokalanem uczuciem miłości dla młodej i pięknej kuzynki Anny Malczeskiej; drugie — z namiętnem i głębokiem przywiązaniem poety do księżny Lubomirskiej, co była zapewne ostatniem jego marzeniem na świecie. Marya, w której ta dwoista natura: westalki i matrony polskiej, przebija się ciągle, jest nieporównaną postacią kobiety. Znajdziemy w polskich i obcych utworach równe jej może codo kolorytu obrazu; piękniejszej i czystszej postaci nie znajdziemy nigdzie.

Kończąc jej obraz, gdzie czystość linii w rysunku przypomina jakby Rafaelowskie Madonny, ostatnim dotknięciem pendzla starał się Malczeski uzupełnić tę postać niepojętego wdzięku i prawie nadziemskiej piękności. Pióro jego spotkało wówczas to porównanie, które jest jak owo zaobłoczenie malarskie tak zwykłe Leonardowi da Vinci, nazwane sprawiedliwie przez Włochów „Zadymieniem“ (*Sfumato*).

„I tylko się lampa szczęścia w jej oczach paliła,
I zgasała — i swym dymem całą twarz zakryła“.

W tym obrazku Miecznika i Maryi Malczeski rozwija przed nami charakter szych osób i wszystkie szczegóły dotyczące się owego-to związku starosty Bełzkiego z Maryją. Miłość jej dla tego męża, którego wydrzeć jej chcą: gwałt, duma i przemoc — Malczeski maluje słowami takiej głębokiej, niezmiernie tkliwości, iż niepodobna jest niepoznać, iż to są jego własnego serca uczucia i skargi.

Odczytajmy następne wiersze, które poeta zwykłym sobie sposobem zaczyna od ulubionej mu formy, od porównania, co niby pierwsze lub ostatnie uderzenie skrzydeł, poprzedza zawsze u niego chwile, kiedy, jak orzeł potężny, puszcza się do lotu, lub kiedy, wracając ku ziemi, zwija rozpuszczone pióra.

„I gdzież-to się podziła tej dziewczynki władza?
Pierwej zganiała chmury, a teraz sprowadza!
I gdzież-to żywy, czysty strumyczek upłynął?
Mruczał na swą nieszczęśliwość, a w jeziorze zginął.
A nasz śliczny kanałek — gdzież to się obraca?
Chciał w ogniu piórka złości i więcej nie wraca.
O! póki ten, co w mojem na zawsze był sercu,
Nim go moim nazwałam na ślubny kobierec;
O! póki ten, co jemu w uczucia się wplatać,
Brzmieć w szlachetnych pomysłach, w west-

chnieniach ulatać,
W spojrzeńcu czuć się światłem i życia po-

trzebą,—
Było więcej niż szczęście, było dla mnie niebo;
Ten, co pączek tkliwego, lubego marzenia
Rozwinał swoim wdziękiem, ocucił z uśpienia;
Pił jego świeżą rosę, a na jego kwiecie
Zostawił łzę wdzięczności, której czas nie zmiecie;
O! póki ten mój miły, ten świat mojej duszy,
Łańcucha naszych węzłów swą wgardą nie

[skruszy,
Wierny zostanie enocie, miłości, pamiętkom,
A gdy znikł pałac szczęścia, wierny jego szcząt-

[kom:
Jeszcze się dla mnie życia nie zamknęło wieko,
Jeszcze myśl jego o mnie, chociaż on daleko,
Płynąć będzie tajemnie w umarłej uczucia...
I jak cudowny balsam bronić od zepsucia...
I tę straszną ofiarę i to rozdzielenie
Zniosę, cierpliwie zniosę, póki nasze cienie
W słodkich, czystych krainach złączone na

[zawsze—
Ludzi już nie zobaczą, lecz niebo łaskawsze!“

Rzekła — i, jak w stojącej a popsutej wodzie,
Wzruszone nagle męty osiadły na spodzie,
Zserca jej wyszły czucia, co w łzach długo mokły,
I zielonym odcieniem jej bladość powlokły...

(Dalszy ciąg nastąpi).

LUŻNE MYŚLI.

(Dokończenie).

Skutki zastosowania tej teorii są najgorsze: społeczeństwo bowiem traci siłę spójności; jednostki, połączone tylko koniecznością interesów materialnych, łączą się z najbliższymi otaczającymi, a przez to brak spójni trwałe, jednolitej, przyjaznej, załadu bowiem zmianą interesów, za powstaniem nowych potrzeb, które mogą być gdzie indziej lepiej zaspokojone, społeczeństwo rozprzęgła się, pojedyncze jednostki rozchodzą się, rozbijają dlatego, by nowe grupy tworzyć, by nowe związki zawierać. I cóż ztąd wynika? oto, brak czasu, by rozwinąć się potężnie, brak siły, by podać rękę pomocną pojedynczym, do przepaści dążącym, jednostkom; zresztą, społeczeństwo złożone z takich luźnych osobistości, goniących wiecznie za własnym zyskiem, bez najmniejszego względu na ogół, przestaje być społeczeństwem, to jest zespoleniem, i jest raczej tylko mechanicznym zestawieniem jednych obok drugich.

Czyż na to tracimy kwiat pięknej młodości, by przetrwać w sobie naukę niby-moralną, stanowiącą, niestety, bardzo często hasło naszego życia, że dla siebie przecież uczymy się, dla siebie pracujemy nie dla drugich? Zasady podobne wszczepiane w umysły młode, dają najgorszych obywateli, bo prowadzą do egoizmu obywatelskiego, ubarwionego cokolwiek obowiązkami i poświęceniem się dla najbliższych.

Kto przesiąkł podobnymi zasadami za życia, ten już widzi, najżywniejsze nawet kwestye, tylko, jak powiada Kraszewski, „przez cholewę od buta“, ten widzi tylko swój dom, siebie, a poza tem nic, bo tam, tak wysoko jego wzrok sięgnąć już nie może.

Jeżeli życie upływa tylko na troskliwym wypełnianiu najdrobniejszych zachęć i nigdy poza ciasne koło własnej ślimaczej skorupy nie wyjdzie, wówczas przynosi jedynie pośrednią korzyść ogółowi, a często bardzo szkodliwą — było więc chybionem.

Również i niepamięć na siebie, pojmowana jako szczyt doskonałości, czyni człowieka nieużytecznym tylko ciężarem społeczeństwa; duch bowiem odrywa się od ziemi, ulatuje gdzieś w powietrzne przestworza i tam rozmarzony, rozłamany, marnie ginie.

Życie materialne jest z duchowem w takim związku, łączy się tak ściśle, że jedno bez drugiego w zwykłych warunkach pojąć się nie da. Gdyby człowiek mógł pozbyć się jednego, a wyłączone żyć drugim, przestałby być człowiekiem; może on tylko podniecać jedno więcej niż drugie, jednego wzrost popierać a drugiego przygłuszać, co zawsze działa szkodliwie, jest chorobliwym stanem ducha, bo powstaje ztąd gruby materializm lub rozmarzona anielskość, która może niewiele jest lepszą od poprzedniego: tu więc konieczne zachować potrzeba harmonijną równowagę, gdyż cel życia zostanie w przeciwnym razie na zawsze zwiecznym.

Stosunek ten duchowego do materialnego życia nie da się ściśle oznaczyć — miarą czasu naprzykład; nie możemy sobie zawsze powiedzieć, że tyle a tyle godzin potrzeba pracować dla chleba, w ciągu takiego a takiego czasu go spożywać, a resztę poświęcać umysłowej pracy, żyć duchowo; ale zato każda choćby najmniejsza, choćby najbardziej realna praca, jeżeli tylko jest świadomą ważności swej, pożytku, jaki dla ogółu przynosi, to już koniecznie z ducha początek bierze, duchem się karmi, jest objawem — wynikiem duchowego życia.

Czem rozwój duchowy w życiu jednostki, tem kultura w życiu społecznem. Kultura bez dobrobytu wzrastać nie może; również dobrobyt bez kultury

nie obejdzie się — gdzie jej niema wcale, tam ją stwarza, aby mu znowu do wzrostu dopomagała. Jedno bez drugiego istnieć nie może. Człowiek bez ducha nie godzien nazywać się człowiekiem; społeczeństwo bez kultury nie zasługiwałoby na nazwę społeczeństwa ludzkiego.

W czasach przedhistorycznych, w pierwszym zawiązku społeczeństwa, kiedy człowiek, nie jak to poetycznie wyrażać zwykliśmy, na łonie przyrody spoczywał i ssał z jej pełnej piersi, lecz kiedy wyteżać musiał swe siły, by istnienie samo zachować, kiedy walczyć musiał z ziemią pełną tajemnic strachem napawających — raz łagodną, dobrą, szczerą matką, to znowu skąpą okrutną macochą — wtedy nie żył duchowo, wtedy duch podany ciału, nad tem tylko pracował, by potrzeby ciała zaspokoić. Kultura stała wówczas na bardzo niskim stopniu i ograniczała się tylko na wyszukiwaniu codziennego pożywienia, i dopiero wtedy gdy praca i skrzętność znaczne nagromadziły zapasy, mógł człowiek już odpocząć, wolniej odechnąć — mógł tworzyć dla ducha. Dlatego to narody, które najprędzej i najwięcej nagromadziły zasobów materialnych, najpierw też stanęły na wyższym stopniu oświaty. Pominąwszy to wszystko, co na wzrost dobrobytu, a temsamem i oświaty wpływało, poprzestańmy tylko na prawdzie historycznej, że dobrobyt umożliwił, powiedzmy, stworzyć kulturę, dopiero bowiem zapewnienie codziennego chleba, pewność o spokojne jutro dozwala żyć i rozwijać się duchowo.

Nierówny rozdział bogactw nie tamuje wzrostu kultury, — owszem, popiera dzielnie jej rozwój, bo społeczeństwo rozpada się na dwa działy: jedni, pracują skrzętnie, bogacą się; drudzy biorą z gotowego, dając w zamian plody swego ducha.

Spółeczeństwo zasobne może już wydzielić z siebie pewną liczbę jednostek zdolniejszych i przeznaczyć do umysłowej pracy, utrzymując je kosztem przewyżki zaoszczędzonych kapitałów — i wkrótce też oświata, okupiona znojem, obłana potem tysięcy pracujących, przeciska się do owych mrówek roboczych, wskazując im krótsze, korzystniejsze drogi w pracy, podając sposoby zaoszczędzenia czasu; — słowem, nieodrywając od ciągłej pracy, uszlachetnia, podnosi, daje pokarm, choć wprawdzie niewielki, ale wystarczający dla ogólnej harmonii społecznej.

Wówczas ogół cały jest zdrow, silny, rozwija się szybko i życie swe szybkimi czynami objawia; a wszystko to, powiedzmy raz jeszcze, spowodowała skrzętność, zapobiegliwość i nierówny rozdział bogactw. Ci, którzy przez usilną pracę znaleźli się w posiadaniu większych majątków, ci najpierw rozwiązali skrzydła duchowi skrzepowane troską o chleb codzienny; ci też rzucili pierwsze nasiona oświaty.

Każdy niepracujący fizycznie należy albo do rzędu majątnych, albo do rzędu tych, których społeczeństwo umyślnie w tym celu utrzymuje, aby przodowali w oświacie, i za to im płaci. Jest to świat wyższy: on kieruje ogółem, on mu przewodniczy; to jego obowiązek, to cel jego życia.

Wejźmy w bliższy rozbiór tego wysokiego stanowiska i wielkiego przeznaczenia w społeczeństwie majątnego i ubogiej inteligencji, i starajmy się osądzić sumiennie: czy ogół nie za wielkie wkłada ciężary na barki majątniejszych, czy nie za wiele od nich żąda, wymagając od wszystkich bez wyjątku inteligencji produktywnej w umysłowym lub materialnym kierunku i czy, przeciwnie, nie powinien się zadowolić „dobrem i gładkiem wychowaniem“; czy wreszcie społeczeństwo słusznie uważa chleb powszedni biednej inteligencji, pracą umysłową zarobiony, jako środek a nie jako cel, a mając nasze stosunki na oku, zobaczymy: o ile u nas moralne prawa społeczne przekraczaniem bywają?

Majątny ma dwie drogi do wyboru: albo dalej powiększać majątek, albo, czerpiąc z uzbieranych zasobów, umysłową pracą ogółowi się odpłacać.

Takich, którzy ostatnią drogę obierają, jest bardzo mało, bo wielki majątek nie daje jeszcze prawa do wielkich zdolności umysłowych, a z rzędu pierwszych, to jest mających dalej mnożyć własne swe, a temsamem ogółu, majątki, nikt usunąć się nie może, a chociażby mógł, nie zechce.

Zbłądzilibyśmy jednak bardzo, gdybyśmy do

materialnej pracy przystąpili tylko z kapitałem, — nie troszcząc się o naukę, jako o rzecz zbyteczną. Nauka, to dusza kapitału ożywiająca; ona nadaje mu ruch i życie, ona go przerabia, przetwarza; formy najodpowiedniejsze dla zaspakajania potrzeb społeczeństwa mu nadaje; ona wywołuje nowe siły, odkrywa nieznanne źródła bogactw. Praca bez nauki byłaby słabą, małą w wynikach swoich, nieprodukcyjną, bo marnującą siły na pokusach wykonania tego, co przy pomocy nauki prędzej i łatwiej wykonanem-by być mogło. Nauka określa jasno stanowisko jednostki w społeczeństwie; budzi w niej silne poczucie, że jest ogniwem jednego wielkiego łańcucha; daje przeświadczenie o ważności zajmowanego stanowiska, godzi interes jednostki z interesem ogółu, wytwarza umysłową podstawę dla cnót obywatelskich; nauka jest konieczną potrzebną nie tylko dla tych, którzy się jej wyłącznie poświęcają, ale i dla tych, którzy się oddają nawet tylko materialnej produkcji.

Cóż wari są ci, którzy żadnej z tych dróg nie obrali? Jakże ich ocenić, jeżeli zważymy, że społeczeństwo nie potrzebuje figurek do ozdoby, ale, że każda jednostka musi być użyteczną, że życie nie może się ograniczać na produkowaniu gazu węglowego i odbywaniu funkcji żywotnych? Cóż mają na swą obronę? Czy może wolność osobistą lub prawa własności?

Wolność o tyle jest słuszną i sprawiedliwą, o ile szkody innym nie przynosi; wolność nie zmusza wprawdzie do spełniania obowiązków względem ogółu, nie wzbrania egoizmu jednostce, nie napędza gwałtem do dobrego, ale też z drugiej strony nie uprawnia złego, nie uswięca go; wreszcie wolność egoistycznie pojęta musi zrodzić niewolę, bo nie może się obejść bez naruszenia praw innych. A prawo własności, jedno z największych i najszlachetniejszych praw przysługujących człowiekowi, czyż na to tylko ma służyć, by zdobyty własną pracą lub odziedziczony majątek mógł być najwygodniej skonsumowanym? Czyż człowiek nie może zostawić po sobie żadnego innego śladu prócz resztek odpadłych z długiej biesiady życia a poza tem żadnej spuścizny materialnej czy duchowej. Czyż ma być tylko zwierzęciem, nierozumnem zwierzęciem, — i niczem więcej?

Jeżeli ci, których naturalnem przeznaczeniem jest krzewienie oświaty i dobrobytu, którzy, conajważniejsza, mając środki po temu, używają ich nieprodukcyjnie, zostawiają ten kłopot innym, i biednym, wówczas nie pomagają do rozwoju społeczeństwa i zamiast przodować narodowi na drodze postępu stają mu oporem przez swą bierność.

Majątek daje wyższość, pewne prawa, przywileje, ale daje także odpowiednie obowiązki. Już w starożytności, nie prawa, nie przywileje, ale obowiązki stanowiły obywatela: tak i dziś w zasadzie panuje podobne prawo społeczne; dziś, jak zawsze, wyższe majątkowe położenie wymaga także wyższego umysłowego stanowiska w społeczeństwie, bądź to gdy nauka ma być sama celem, bądź też gdy jest tylko środkiem pomocniczym w pracy materialnej.

Jak smutnie wobec tego wygląda rola konsumentów nieprodukcyjnych. W cóż się oni przemieniają? W prostych zjadaczy chleba, w maszyny bezduszne, przeznaczone do trawienia wyrobów klasz biedniejszych, w słuzy odpływowe nagromadzonych wytworów pracy materialnej i duchowej. Tu dopiero okazuje się najbrzydszy egoizm, za którym w ślad idzie karygodna obojętność i niedołęstwo w zajmowaniu się sprawami społecznymi. Całe życie umysłowe ogranicza się u takich pasażerów w młodości na powierzchownym poznaniu literatury, a później na czytaniu gazet dla zabicia czasu; wreszcie wychowując synów, baczą oni tylko na to, by wstydu nie zrobili stanowisku swemu, pod czem rozumieją jedynie gładką powierzchowność, dobre ułożenie i nic więcej. Tacy to ludzie, niestety, zaliczają się do inteligencji! a przecież są to tylko konsumenci nie wytwarzający, którzy na tem większe zasługują potępienie, iż, posiadając warunki wszelkie do wytwarzania rzeczywistych wartości społecznych, obracają je na egoistyczne wegetowanie w najgrubszej barbarzyńskiej zmysłowości.

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż d. 30 Września 1878 r.

Ostatnie posiedzenie Rady Wyższej Naukowej w Paryżu postawiło w nowym zupełnie świetle ważną bardzo kwestyę wychowania kobiet we Francyi, a szczególnie w Paryżu. Na to posiedzenie zaproszeni zostali niektórzy z delegowanych cudzoziemców, poświęcający się wyłącznie wychowaniu dzieci i zajmujący obmyśleniem najlepszych i najstosowniejszych środków do osiągnięcia najlepszych skutków w tym względzie.

Rada miejska Paryżka, która tak świetnie zaprezentowała się na wystawie powszechnej, ma zupełnie wyłączny oddział — tyczący się Szkół i nauczania początkowego miasta Paryża. Prefektura Sekwany, która jest czemś w rodzaju jakby udzielnego rządu, posiada w swym składzie różne ministerya, pomiędzy którymi, prawdziwe ministerjum oświecenia jest w rękach P. Gréarda, Członka Instytutu, z tytułem Dyrektora początkowego Nauczania, (*L'enseignement primaire*) w depart. Sekwany. P. Gréard, znajdujący się na posiedzeniu, o którym mowa, złożył spore i piękne in folio, zawierające 760 str. druku; jest to zdanie sprawy o szkołach i szkołkach miasta Paryża.

Ponieważ „*Bluszc*“ poświęcony jest przede wszystkim kobietom, postaram się dla ich użytku, z korzystać z tej sposobności i zaczerpnę w tej wielkiej księdze szczegóły i liczby tyczące się wychowania dziewcząt.

Powiedzmy najpierw, że ministerjum P. Gréarda daje naukę przeszło 200,000 dzieci, licząc w to uczniów Szkół wolnych poczynających. Peryod dziesięcioletni, który obejmuje epokę od roku 1867, to jest od roku ostatniej wystawy powszechnej do 1877 roku, okazuje prawie podwojoną liczbę dzieci, uczęszczających do Szkół i Zakładów Paryżkich, tak rządowych jak i prywatnych. Liczba dziewcząt, zostających pod dyrekcją p. Gréarda, przechodzi sto tysięcy; z tych, trzynastę tysięcy, należy do domu przytułku (*Asiles*), do których uczęszczają dzieci od 2 do 6 lat mające, a 87,000 do szkół początkowych, (*Ecoles primaires*). Nie mogę tu wchodzić we wszystkie szczegóły nauki, którą odbierają tu dziewczęta; bo to-by przeszło daleko poza granice mojej korespondencji; powiem tylko, że sam zwiedzałem te szkoły gminne, prowadzone przez nauczycieli bądź duchownych, bądź świeckich. Wszędzie panuje wielka czystość i porządek, a nawet w wielu znalazłem pewien rodzaj świetnego konfortu. Szkołki te, są to prawdziwe pałacyki, w porównaniu z tem, czem były niegdyś. Ławki i zydelki, z pięknego drzewa, politurowane i jasne jak szkło; dziewczęta w błękitnych zarękawkach po łokcie — siedzą wygodnie, piszą i rachują, jakby wprawni rachmistrze. — Nauka tu jest kompletna — i po skończeniu jej dziewczyna może zająć, bez żadnego wahańia się, miejsce największej kassyerki.

Przywiódł tu, jeden tylko szczegół, bardzo oryginalny, ale i praktyczny zarazem, szczegół udzielony na posiedzeniu przez P. Gréarda.

Kiedy dziewczyna dojdzie do lat czternastu, mówił nam Dyrektor, wówczas każą ją egzaminować we względzie jej skłonności i jej projektów na przyszłość. Dziewczynka daje odpowiedź na piśmie, zamknięta w osobnym pokoju, jak wtedy, kiedy pisze wypracowanie. Dowiadujemy się w ten sposób, mówił pan Gréard z uśmiechem, o tajemnicach jej serca, którychby nie odkryła, gdyby już była skończoną kobietą. Ciekawą jest rzeczą poznać przyczyny, dla których, zapytywane o to, dziecko wybiera to lub owo rzemiosło ten lub ów zawód.

Tu otwieram ogromny wolumen pana Gréarda i wybieram na los szczęścia z tysiąca przykładów, zapisanych na jego kartach, odpowiedzi tyczące się naprzykład rzemiosła szwaczki: — „Chcę zostać szwaczką“, powie jedna, ponieważ to się podoba

moim rodzicom; druga — „ponieważ za biedna jestem, abym mogła być czemś innem. — Trzecia dodaje: uniem przecież po francuzku i po angielsku, mogłabym być nauczycielką; ale mama powiada, iż potrzeba, abym mogła zarabiać natychmiast. — Czwarta chciałaby się poświęcić muzyce, zostać nauczycielką fortepianu; ale rodzina nie ma dosyć środków, aby ją zostawić dłużej w szkole“ i t. d. Wszystkie te dziewczęta chciałyby być czemś więcej niż szwaczkami, — ale.... sposoby, środki stają na zawadzie. Jest to pierwsze zetknięcie się z tym straszliwym sfinxem, który się zowie: „Potrzeba.“

Teraz w liczbie tych spowiedzi, są i takie, które wskazują odwrotną stronę medalu. Biorę je tu tak, jak mi wpadają pod rękę: „Pragnę być panną magazynową, bo to nie męczy wcale, a ja nie lubię pracować. — Chciałabym zostać modniarką, bo lubię świat i towarzystwo. — Chcę być bufetową, bo podoba mi się nalewanie w szklanki. — Wiem czego chcę, mam już moje postanowienie, ale go nie powiem! i t. d.“ Jednym słowem, księga ministra oświecenia prefektury paryżkiej jest nauczająca i ciekawa. Objasnienia pana Gréarda były wielkiej wagi.

Teraz przytoczę tu w treści to, co odczytał delegowany angielski, we względzie wyższego wykształcenia kobiet w Anglii.

Uniwersytet w Cambridge starał się wprowadzić pewne nowe ulepszenia, w kształceniu kobiet. W 1870 roku staraniem rady uniwersyteckiej założono w tem mieście kobiece kollegia, „*Ladies Colleges*“. W nich uczennice są pod zarządem dyrektora płci żeńskiej, który się zowie: *Lady Principal*. Na takiej-to zasadzie otwarte zostało w r. 1873 kollegium *Girton*, a w r. 1875 kollegium *Newnham*, to ostatnie prawie na przedmieściu Cambridge, pierwsze trochę oddalone od miasta. Wykłady naukowe miewają sami profesorowie uniwersytetu. *Newnham-Hall* ma programat naukowy szerszy i wyższy niż *Girton-College*; nie zdaje się tu wcale egzaminu wstępnego i niema tu żadnego obowiązku, ani codo wyboru przedmiotów, ani codo rozległości nauk czerpanych, jak to ma miejsce w *Girton-College*.

To też pierwszy z tych dwóch zakładów jest bardziej uczęszczanym niż drugi. I tak w *Newnhamie*, kursa liczą do 94 słuchaczek, kiedy w *Girton* ich liczba ogranicza się do 66. Z tej liczby 94 uczennice 88 zdało examen ustanowiony przez uniwersytet, dla wyższego wykształcenia kobiet, i który może się zdawać w rozmaitych miastach w Anglii; w tej liczbie 68 uczennic, 11 otrzymało najwyższy stopień naukowy z patentem, stopień, który odpowiada „doktorowi“ uniwersytetów niemieckich.

Girton w początkach założony został jedynie w celu przyjęcia na mieszkanie i stół pewnej liczby, 40, uczennic, mających słuchać wykładów w uniwersytecie; *Newnham* miał ich tylko 30. Lecz liczba kandydatek, zwiększając się coraz, zmusiła do pomieszczenia ich w mieście u osób prywatnych, gdzie zostawały pod nadzorem wice-prowizora płci żeńskiej. Przypuszczenie do egzaminów uniwersyteckich ma miejsce dopiero w 18 leciech; pochodzi to ztąd, że w obu zakładach, niema uczennic młodszych od ośmnastoletnich. — Wiek uczennic zamyka się pomiędzy ośmnastu i dwudziestu latami. W roku bieżącym liczba uczennic w zakładzie *Newnham* jest od 60 do 70.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

Zmarły niedawno baron Klopman, były inżynier miasta Warszawy, zapisawszy ostatnią swą wolą przeszło 5,000 rs. na pomoc naukową dla niezamożnej młodzieży, zastrzegł, aby w warunkach jakiego postawił, równo prawa służyły tak dziewczętom, jak chłopcom. Ta ostatnia wola za-

wiera nauczający i piękny szczegół. Umierający zwraca się wspomnieniem do straconej od lat dziewięciu żony, Maryi z Karśnickich, i, dziękując jej ceniom za trzydzieści ośm lat szczęścia, dodaje, że jej-to gospodarność, oszczędność, jej rozsądek dopomogły mu w znacznej części, do zebrania własną pracą pozyskanego majątku; jej więc zawdzięcza wygodny byt bez troski, który otaczał sędziwą jego starość.

Dnia 1 Października otwartym został przy ulicy Smolnej Nr 6, *Nowy zakład przemysłowo-rękodzielniczy dla kobiet*, a z nadesłanego nam programatu dowiadujemy się, że zamierzając działalność swoją stopniowo rozwijać, szkoła ta uczyć będzie na przyszłość: kroju i szycia bielizny, kroju i szycia sukien, rękawicznictwa, introligatorstwa, retuszowania fotografii, buchalteryi, a na żądanie dodaną być może konwersacya w językach obcych. Nauka obejmować będzie od 4 do 6 godzin tygodniowo, kursa całkowite trwać będą od 3 do 6 miesięcy, opłata wynosi 6 rs. miesięcznie. Naczelniczką zakładu jest panna Julia Angel, niegdyś nauczycielka.

Uniwersytet w Pradze, ma obecnie na wydziale lekarskim, jedną wolną słuchaczkę, p. Annę Beyer, która poprzednio już studyowała medycynę w Zurychu, gdzie też doktoryzować się zamierza, po skończeniu studyów w kraju, gdzie jednak ani do egzaminów być przypuszczoną, ani stopnia naukowego otrzymać-by nie mogła. Pani Beyer słucha obecnie wykładów Dra Eifelt, Dra Häring, Dra Janowskiego i Dra Klebs. Druga Prażanka, Olga Kovar, która w roku zeszłym złożyła examen ze stenografii w języku ojczystym, obecnie powtórzyła go w języku niemieckim i otrzymała świadectwo uzdolnienia w przedmiocie swoim.

Na żądanie przypuszczenia kobiet do uniwersytetu wiedeńskiego, austriackie ministerjum oświecenia publicznego odpowiedziało, że prawa tego uniwersytetu nie pozwalają mieszanii płci; zatem rzecz mogłaby nastąpić tylko po zmianie praw owych na drodze właściwej. Udzielone jednak zostało kobietom szczególne pozwolenie uczęszczania na uniwersytet w charakterze wolnych słuchaczek, zawsze przecież na te tylko wykłady, na które wstęp przez władze uniwersytetu dla względów szczególnych wzbronionym im nie zostanie. Ministerjum wyraziło przytem życzenie, aby wykłady przez profesorów uniwersytetu dla kobiet oddzielnie zarządzane być mogły.

Zarobkowe stowarzyszenie kobiet wiedeńskich (*Wiener Frauen-Erwerb-Verein*) ogłosiło programat swój na rozpoczynający się rok szkolny w zakładach stowarzyszenia, wzniesionych przez jedenaścieletnią jego działalność. Temi są: szkoła handlowa o dwóch klassach, z praktyką czynności kantorowych; szkoła języka francuzkiego o czterech klassach, z kursem konwersacyi; szkoła języka angielskiego o dwóch klassach; kurs stenografii; szkoła rysunkowa z pracownią dla rysowania modeli; wyższa szkoła robót kobiecych o trzech klassach z nauką szycia, krawiecczynny, wyrobu koronek, haftu ręcznego i maszynowego, oraz prania koronek jako też bielizny wykwińskiej. Stowarzyszenie urządzi przytem kursa zimowe, gdzie dorosłe panny i panie, z ukończoną nauką średnią mogą się kształcić w pewnych gałęziach wiedzy wyższej. W roku bieżącym wykładane będą: historia sztuki, literatura powszechna, geologia. Wspomniane wyżej osoby, mają urządzoną dla siebie naukę robót ręcznych, w których od dnia 1 Października do dnia 31 Maja mogą się uzdolnić pod kierunkiem zdatnej nauczycielki, pobierając naukę przez dziewięć godzin dziennie. Ponieważ wiele kobiet, które się w szkole robót i w szkole rysunkowej stowarzyszenia wykształciło, otrzymuje za pośrednictwem pracowni tychże szkół zamówienia prywatne, tak w przedmiocie rysowania wzorów do robót, jak i roboty same, a szczególnie obstałunki na haft biały i kolorowy, oraz koronki — stowarzyszenie postanowiło materyały potrzebne robotnikom dostarczać, czuwając zarazem, aby wykonanie robót było odpowiednio prędkie i poprawne i z poczuciem estetycznego smaku wykonane.

W sklepie *Stowarzyszenia wiedeńskich gospodyń*, w dniu 1 Lipca roku zeszłego otwartym, sprzedano ręcznych robót kobiecych, po dzień 1 Lipca roku bieżącego, za 1,042 flor. Kantor stręczeń tegoż towarzystwa otrzymał ze strony pań 1,720 żądań,

umieścić zaś sług 1,338; zgłosiło się do kantoru sług 1,740. Stowarzyszenie liczy w roku bieżącym 1,300 członków.

W Berlinie praktykujące kobiety lekarki zazna- czyły się w początkach swego zawodu bardzo za- eną, pożyteczną w skutkach i stosowną, działalno- ścią. Pani doktorowa Tiburtius-Hirschfeld urzą- dziła staraniem swoim lecznicę dla kobiet i dzieci niezamożnych, przy ulicy Alte-Schönhauser-Stras- se Nr 23 i 24, pozyskawszy na to lokal bezpłatny od właściciela Bötzw. Lecznicza ta oddana zosta- ła pod zarząd i ordynowanie lekarskie pannom: Dr Tiburtius i Dr Lehmus, które dwa razy tygo- dniowo poświadczały od 7 do 8 godzin dobroczynnej pracy. Sprawozdanie roczne wykazało znaczną liczbę 4,900 kobiet i dzieci, które tu pomocy lekar- skiej szukały i otrzymały ją z tak szczęśliwym skutkiem, że druga podobna lecznicza została otwar- tą przy ulicy Ackerstrasse, w rocznicę wzniesienia pierwszej, to jest dnia 18 Czerwca roku bieżącego. Ta druga lecznicza, przeznaczona dla kobiet i dziew- cząt, jest wzniesiona staraniem i kosztem *Stowarzy- szenia domowej higieny* (Verein für häusliche Ge- sundheitspflege), a pp. Tiburtius i Lehmus obsłu- gują ją również po połowie z lekarzami mężczy- znymi.

Obie te lekarki zostały także lekarzami *Sanitar- nego stowarzyszenia nauczycielek i wychowawczyń* (Sanitätsverein für Lehrerinnen und Erzieherinnen) które świeżo zawiązane, liczy w Berlinie i jego oko- licach stu kilku członków, a celem jego nie jest tyl- ko zapewnienie sobie pomocy lekarskiej wrazie choroby; samym z wiedzą higieniczną się obznajo- miać i następnie tę naukę zdrowia uczennicom swym udzielać, a nawet sposobem propagandy za- chęcać do niej matki, służącym przy dzieciach niań- kom wiadomości w tym kierunku podawać: oto obowiązki stowarzyszonych. W skutek tego po- winności lekarzy stowarzyszenia nie ograniczają się jedynie do porady lekarskiej; druga, a nie mniej- szą, powinności tych podawą jest odpowiadanie na wszelkie ustne i piśmienne zapytania w zakresie higieny, przez członków czynione, oraz wska- zywanie najlepszych książek, mogących oświe- cić w tym przedmiocie. Założycielką i naczeln- czką stowarzyszenia jest, w całych Niemczech znana i w sprawie oświaty kobiet niemieckich wiel- ce zasłużona, osobistość, Miss Asher, niegdyś wychowawczyni dzieci następcy tronu niemieckiego, a dziś przełożona najwyższej szkoły niemieckiej dla kobiet: *Licium Victoria*. Na walnem zebraniu niemieckich muzeów przemysłowych, wykazaniem zostało, że w przeciągu roku zeszłego piątą część osób, którym wydano bilety na słuchanie kur- sów naukowych, przez też muzea urządzonych, by- ły kobiety. W każdym razie liczba tych biletów jest, jak na państwo niemieckie, bardzo nieliczną. Wszystkich razem było 1,776.

Dzienniki niemieckie donoszą, że „ekonomicz- nie najdobroczynniejszym stowarzyszeniem kobiet“ jest *Berlińskie towarzystwo pomocy dla drobnych fa- brykantów i rzemieślników*, którego naczelnką jest od lat 30 Joanna Duncker. Towarzystwo to udzieliło w roku ubiegłym 810 pożyczek, w kwotach od 30 do 150 marek, ogólna zaś summa kapitału obroto- wego była 78,975 marek. Majątek stowarzysze- nia wynosił z końcem zeszłego roku 60,284 marki, 78 fenigów i zmniejszył się od 1876 r. o 264 marki 46 fenigów. Strata całkowita w przeciągu lat trzy- dziesięciu, z nieoddania udzielonych pożyczek wyni- kła, jest 10,258 marek, 86 fen., zatem przecięciowo wypada rocznie 341 marek, 96 fen. przy kapitale obrotowym 1,643,439 mar., podzielonym na 18,363 pożyczek. Obecny zarząd towarzystwa składa się z pań: Joanny Duncker, Berty Friedheim, Heleny Leffman i Julii Kayser, a do słów wyżej przytoczo- nego zdania możnaby dołożyć, że towarzystwo to i moralnie do najwyższej dobroczynnych towarzystw

zaliczyć należy, bo uprzedzić potrzebę jałmużny, przez pomoc daną walczącej z biedą pracy, jest najszlachetniejszą, najlepszą, najpiękniejszą dobro- czynnością, że źródła najzaciej kłiwych uczuć serca powstała. Łacińskie przysłowie: *kto przedko daje, dwa razy daje*, można tu śmiało przemienić na „sto razy daje“, bo daje tyle, że nie dopuszcza wszystkich cierpień i upokorzeń, jakie grozą uczi- ciwą, z godnością spełnianą, pracą od żebractwa, wyciągania ręki o litość, o wspomnienie miłosierne.

Ogólno-niemiecki zakład domów dla nauczycielek i wychowawczyń, liczy obecnie 800 członków, a po koniec zeszłego roku zarządu, to jest po Wrzesień bieżącego roku, posiadał majątku stałego 341,446 marek, z których 265,800 marek znajduje się na hypotekach, a 73,400 marek w papierach państwa. Fundusz na utrzymanie domów w ciągu roku użyty wynosił 259,353 marek; fundusz obrócony na jednorazowe wsparcia chorych i w nędzę popadłych nauczycielek i wychowawczyń był 85,515 marek. O tem stowarzyszeniu można powiedzieć ze stano- wiska naszych stosunków, że jest ono największej zadości godnem, dodając, że społeczeństwo, które się na podobną instytucję zdobyć nie może, jest w bardzo smutnym stanie nieradności i niecenienia najszlachetniejszej, najpożyteczniejszej i razem naj- cięższej mozolnej pracy—pracy nauczania i wychow- wywania nie-swoich dzieci. Niechby każda matka, której najważniejszych trudów macierzyńskiego obowiązku nauczycielka ujęła, przyniosła na ten cel choć wdowi grosz datku wdzięcznego, a złożył- by się niewątpliwie kapitał zakładowy, koniecznie na początek potrzebny. Wpływ rocznych skła- dek, przez stowarzyszone nauczycielki wnoszo- nych, dokonały reszty—sędziwy wiek ciężko spracowanych i na najwyższy wzgląd każdego społeczeństwa zasługujących pracownic, zostały zabezpieczonym od nędzy i poniżenia.

Niemcy posiadają zakład dobroczynny, celem do wyżej wymienionej instytucji zbliżony, lecz funda- cyi o wiele dawniejszej: dom schronienia starości samotnej, wzniesiony przed trzydziestu laty, przez gminę izraelską w Berlinie, i przy ulicy Hambur- gerstrasse dla starców i sędziwych niewiast mo- żeższego wyznania do dziś dnia istniejący. Pierw- szeństwo przed innymi kandydatami, byłym nau- czycielom i nauczycielkom zapewnione, sprawia, że przeważna ich liczba zawsze się w zakładzie znajduje, i stąd zwać go prawie można przytuł- kiem weteranów nauczycielskiego stanu. Obecnie służy on za przystań spokojną dla ośmdziesięciu kilku starców i staruszek, mieszkających pod da- chem jednym, w obszernym, poważnie wyglądają- cym budynku, gdzie przyjęci zostali bezpłatnie, choć często mała sumka zebranych mozolnie oszczędności, składana bywa przez wchodzących na korzyść przyjmującego ich przytułku, lub zo- staje mu przy śmierci zapisywaną, najcieńszej z jakimś warunkiem, dobrobyt następców na celu mającym. Szczególniej kobiety tak czynią; pamiętając co im tu było brakiem, co im tu było powodem przykrości, usuwają ów brak, ową przy- krość z przed tych, co tu po nich resztki skolata- nego życia wieść będą, obdarowując w różne dro- bne wygody, uciechy nieznanne losu swego wspól- niczki. Zakład przecież, o którym wiadomość z ko- rrespondencji czerpiemy, jest urządzony bardzo wygodnie i z wielkim względem na późny wiek je- go mieszkańców. Opis podany przez korespon- dentkę odnosi się szczególnie do oddziału niewie- ściego, nad którym zarząd pozostaje w rękę kobie- ty, noszącej tytuł inspektorki. Każda mieszkanka, jak i mieszkaniem przytułku zajmuje pokój osobny, obszerny, czysty i miło wyglądający, z wyjściem na długi kurytarz, który wzdłuż całego piętra bie- gnie. W pokoju kobiecym znajduje się prócz łóż- ka, kanapki ze stołem, komody, lustra i umywalni, stolicek do roboty umieszczony przy oknie; u męż-

czyn w miejsce tego jest biurko do pisania. Kto ze sobą jakiś własny sprzęcik, jaki ozdobny mebe- lek przywiezie, może go w pokoju swoim umie- ścić, jak również obrazy i tym podobne przedmio- ty. Gdy jedna z dawnych nauczycielek, przyjeżd- już do zakładu, prosiła, aby jej siostra, która jesz- cze nie doszła wieku, dającego prawo do pomie- szczenia w przytułku, mogła w pokoju jej zamie- szać, za co oddawała zakładowi posiadaną sumkę uzbieranego grosza, żądanie jej zostało z uczuciem ludzkości uwzględnione, i bez żadnego wynagro- dzenia dano jej nieco większy pokój, w którym się z ową siostrą pomieścić mogła. W kurytarzu przy drzwiach każdego pokoju znajduje się wieszadło na suknie i szlaban na chowanie zbrudzonej bieli- zny, gdyż ta, skoro w pokoju jest trzymana, powie- trze psuje. Szlabany te służą za miejsce spoczyn- ku, gdy w czasie słoły ktoś z mieszkańców prze- chadzki w kurytarzu, zamiast w ogrodzie chce uży- wać. Mieszkania na piętrze, zajmowane są przez młodszych wiekiem pensyonarzy, na dole mieszka- ją sędziwi. Na dole również jest komnata modli- twy, salon narady dla zarządu, mieszkanie inspe- ktorki, kuchnia, mieszkania służących i izby go- spodarskiego użytku. Ponieważ w takich zakła- dach kuchnia przedstawia zwykle słabą stronę rze- czy, zwiedzająca zakład zaszła tam właśnie, i wi- działa, kosztowała obiad, który wprawdzie był świątecznym, bo wizyta, którą opisujemy, wypadła przypadkiem na dzień świąteczny, według kalen- darsza mojżeszowego. Obiad ów składał się z ro- sołu, pieczystego z komputem sliwkowym i bardzo dobrej leguminy; do tego dodaną była dla każdej osoby bułka pszenna. W śpiżarni było kilka tort- tów, na drugi dzień święta przygotowanych, oraz kilka główek cielęcych w majonezie. Kolacya zwy- kle bywa gorąca, że przecież w tych czasach ry- by, jakie zwykle na wieczerzę świąteczną u Izrae- litów podają, stały się w Berlinie bardzo drogiemi, korespondentka widziała kule z siekanego mięsa, rodzaj klopsów, już gotowe do wstawienia w piec, aby tam upieczone, do kolacyi podano. Korespon- dentka widziała również i rozmawiała z najstarszą w zakładzie staruszką, która ma 93 lata, przecież wygląda na wiek swój rzeżko, jest przytomna i widocznie z położenia swego zadowolona, a schludne i przyzwoite jej ubranie, świadczyło dobrze o troskliwej opiece zakładu. Z okien jej pokoju widać starożytny ementarz żydowski, ale widok ten snadź przykrym jej nie jest, bo pokaza- ła go odwiedzającej sama, powiadając: że cesarzo- wa Augusta, która w czasie przedwiekanocnym bieżącego roku zakład zwiedzała, patrzyła ztąd na niego. Sędziwa ta zakładu mieszkanka jest panną; całe życie samotna, w schronieniu miłosierne- m żyć zakończy.

Coby było przecież, gdyby tego schronienia nie znalazła, gdyby blisko stuletnia staruszka tułała się za kątem, kędyby siwą głowę złożyła mogła....

Najstarszą po niej jest 82 lat mająca staruszka, którą odwiedzająca w pokoju owej pierwszej, pan- ny H., znalazła. Żyją ze sobą w przyjaźni.

Najstarszy starzec zakładu ma lat 83. Był nie- gdyś rabinem. On to witał cesarzową, gdy weszła do sali modlitwy!

Życie bez skazy moralnej, jest nieodwołalnym, koniecznym przyjęcia tu warunkiem, zatem wszyst- kie zgromadzone tu sędziwości są szanowne i przed każdą z nich młodość powstać i głowę odkryć po- winna; społeczeństwo też daje im nie chleb łaska- wy, ale chleb dobrze zasłużony.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się arkusz 8-my powieści pod tytułem: *Kłamecy*.

TREŚĆ. Pogawędka. — Powrót, z poezji Heinego, w przekładzie Adama Mieszkzi. — Meleszkowie, powieść, (dalszy ciąg), przez Zbigniewa. — An- toni Malczeski, (Zarys biograficzno-literacki), (dalszy ciąg), przez Wł. Chodzkiewicza. — Luźne myśli, (dokończenie). — Nowiny paryżkie. — Kronika działalności kobiecej.